

Kiedy na stacyi w Krakowie przedstawiono go Witowtównie, pomyślał: „poczwara“ i przestał na nią zwracać uwagę.

Usadowiła się w tym samym, co i on, przedziale — tuż obok niego.

Ludwik, niezbyt zadowolony z tego sąsiedztwa, zmarszczył lekko brwi, ale Kornelia, jakby nie widząc tego, najswobodniej w świecie rozpoczęła rozmowę. Z początku Rażycki odpowiadał monosylabami, ale wkrótce rozburmurzył się i ożywił.

Brzydka koleżanka tak dowcipnie rzucała uwagi i tak zrećnie zdołała w ciągu krótkiego czasu powiedzieć mu kilka rzeczy, które mile poglaskały jego próżność i miłość własną, że poczuł trochę sympatii do „poczwary“ i wydała mu się mniej odrażającą.

Kiedy zaczął zdradzać sennosć i znużenie, Kornelia urządziła mu wygodne posłanie, zaofiarowując przytem własny swój koc.

O świcie przybyli do Nowego Targu. Ranek był bardzo chłodny, a na stacyi nie można było jeszcze dostać nic ciepłego. Witowtówna wydobyła ze swego „plecaka“ maszynkę spirytusową, szybko ugotowała herbatę, łała do niej koniak, wyjęła jakieś doskonałe kruche migdałowe ciastka i podała to Rażyckiemu z taką narzucającą się uprzejmością, że musiał przyjąć i podziękować.

I tak było przez wszystkie dni wycieczki. Witowtówna umiała niesłychanie zrećnie, a delikatnie narzucić mu na każdym kroku towarzystwo swoje i troskliwość. Nie przeszkadzała mu rozmawiać z innemi, ale była przy nim ciągle i rozsunęła wokół niego pajęczą subtelną siatkę drobnych starań i przysług.

Kiedy powrócili do Krakowa, byli tak ze sobą, jakby się znali oddawna. Ludwik doszedł do wniosku, że z tej brzydkiej Witowtówny to wcale dobry kolega.

Od tego czasu spotykał ją wszędzie. Chociaż przyrodniczka, zapisała się na wykład historyczny, na który on uczęszczał, co więcej, zdołała się zapoznać z matką Ludwika i pozyskać jej sympatię, pomimo, że pani Rażycka żywiła silne uprzedzenia do kobiet, studujących na uniwersytecie. Dla Kornelci zrobiła jednak wyjątek, uznając, że to zupełnie „porządna“ dziewczyna.

Z Janką zaś Kornelia zawarła serdeczną przyjaźń. Witowtówna krążyła tak koło Ludwika, jak ćma koło światła, strzegąc się jednak pilnie, by on tego krążenia nie spostrzegł.

Nie krępowała go nigdy, nie była mu ani przez chwilę uciążliwą, natomiast zrećnie starała się wykorzystywać każdą sposobność, aby mu się stać potrzebną, oddać jakąś przysługę, powiedzieć coś przyjemnego.

Dlaczego to robiła, nad tem Ludwik nie zastanawiał się nigdy. Jako kobieta nie istniała dla niego, nie interesował się więc wcale tajnikami jej serca.

Z czasem przywykł do niej i do tej pokornej gotowości do usług. Zrobił z niej swoją powiernicę, której nie tylko opowiadał swoje przygody miłosne, ale czasem żądał od niej pomocy, której nigdy nie odmawiała.

Śluchając jego opowiadań, wykonując zlecenia, miała Kornelia twarz zawsze jednostajnie uśmiechniętą, tylko gdyby ktoś spojrział uważniej i głębiej w jej oczy, może zobaczyłby w nich jakąś bezden bezgranicznego smutku, ale komuby się chciało spoglądać w te brzydkie, bezbarwne oczy.

Z wybuchem wojny Ludwik Rażycki został powołany do szeregów. Wyjeżdżając, zapomniał się pożegnać z Kornelią, ale ona przybiegła na stację.

Rażycki miał dużo przyjaciół, którzy przyszli go pożegnać, odprowadzali go też matka i siostra. Zabrakło mu czasu, aby zamienić z Kornelią choć słowo. Zaledwie, że zdążył podać jej rękę.

Pamięć o nieobecnych zaciera się szybko. Z licznych kolegów, znajomych, przyjaciół mało kto pisywał do Ludwika. Jednych rozprószyła wojna po świecie, inni mieli swoje troski i zajęcia, uciechy, zmartwienia i nie mieli czasu bawić się w korespondencję.

Prawie każda poczta polowa przynosiła Ludwikowi list i pakunek od Kornelii. — Z zadziwiającą przenikliwością odgadywała jego życzenia i przy-

sylała mu zawsze to, czego brak w danej chwili najsilniej uczuwał. Nawet matka Ludwika nie mogła dorównać jej w troskliwości.

Witowtówna pierwsza przywitała go w szpitalu. Jak, kiedy, od kogo dowiedziała się o jego przyjeździe, to już było wyłączną jej tajemnicą, której zresztą nikt badać nie zamierzał.

I dzisiaj, zaledwie Rażycki znalazł się na ulicy, już przypadek sprowadzał skądś pannę Kornelię. Co prawda, to pomogła ona temu przypadkowi, kręcąc się od kilku godzin koło szpitala.

— Dokąd pan idzie?

— Do matki...

— Podprowadzę pana, właśnie tamtędy wypada mi droga... Naturalnie, jeżeli moje towarzystwo nie przeszkodzi w niczem panu, może już jakie rendez-vous umówione?

— Nie, jeszcze nie — roześmiał się Ludwik — nie miałem czasu. Na razie dążę tylko na łono rodziny, a po drodze chcę się zapoznać na nowo z Krakowem, jeżeli to więc pani wszystko jedno, obierzmy drogę jak najdalszą.

— Ależ jak najchętniej, dzień taki śliczny, że miło przejść się trochę.

Istotnie dzień był pogodny, bardzo słoneczny. W powodzi złotych blasków nędzniejszą jeszcze i brzydszą, niż zwykle, wydawała się postać Kornelii, jeszcze jaskrawszym kontrastem odcinały się pukle jasno popielatych włosów, wydobywających się z pod skromnego, czarnego, słomkowego kapelusza.

Zmieniła się ona trochę, nie wydłaniała jednak bynajmniej. Pobladała tylko i zmizerniała, przez co silnie zaznaczyły się centki piegów, koło oczu miała ciemne obwódki, powieki zaczerwienione, jakby od nieprzespanych nocy lub łez wylanych.

— Zmizerniała pani — rzekł nagle Ludwik, rzucawszy przelotne spojrzenie na twarz swojej towarzyszki.

Zarumieniała się. Po raz pierwszy, od kiedy się poznali, zwrócił uwagę na jakąś zmianę w jej wyglądzie.

— Pracowałam sporo ostatnimi czasy — odpowiedziała pospiesznie — to z tego, to tylko z tego.

Złękła się, że on może się domyślać, ile dni ciężkich, dręczących, pełnych trwogi, tęsknoty, cierpienia przeżyła, kiedy on był daleko, każdej chwili narażony na niebezpieczeństwo, na śmierć.

Niepotrzebnie obawiała się. Ludwik bardzo dalekim był od myśli posądzenia jej o gorętsze uczucia, czy to dla siebie, czy dla kogokolwiek. Uważał ją za stojącą stanowczo poza nawiasem wszelkich zawikłań miłosnych. To była dla niego tylko wygodna koleżanka, cierpliwa powiernica, „siostra ludzi“, jak się sama określiła.

Całą jego uwagę pochłonięta teraz ruch uliczny. Toż przez tyle miesięcy widział tylko las, ziemianki, mundury żołnierskie. Cały ten tłum przechodniów obcych, obojętnych wydał mu się blizkim, miłym, zajmującym.

Witał spojrzeniem dobrze znane sobie kamienice, ślizgał się wzrokiem po twarzach kobiet, uśmiechał się do dzieci.

— Niechże mi pani opowie co nowego o Krakowie. Tylko o polityce i wojnie nie chcę nic słyszeć. Zato zajmuje mnie wszystko inne. Chciałbym wiedzieć, kto podczas mojej nieobecności ożenił się, zakochał, umarł, rozwiódł się i tak dalej. Jednym słowem spragniony jestem plotek.

Usta Kornelii drgnęły lekko, prawie niepostrzeżenie. Może spodziewała się innego zapytania, może miała nadzieję, że on powie:

— Proszę mi powiedzieć coś o sobie. Jak pani przeżyła ten cały czas, czy dobrze się pani powodzi?...

Może chciała pochwalić się, że dostała dobrą posadę w laboratorium chemicznym i pomimo ciężkich warunków życia podczas wojny wychodzi zwycięsko z walki o kawałek chleba powszedniego.

Nie zapytał jednak, więc ani słowem nie wspomniała mu o swoim życiu, a zaczęła mu opowiadać o ludziach, z którymi nic ją nie łączyło.

I starała się mówić żywo, wesoło, zajmująco, aby go nie znudzić i choć przez krótką chwilę zatrzymać przy sobie.

— Kto to? — wpadł jej nagle bezceremonialnie

w mowę Ludwik, wskazując oczyma na młodą pannę, z którą Witowtówna zamieniła ukłon.

— To młodsza koleżanka moja z uniwersytetu, Hela Lidzińska.

— Bardzo ładna panna — szczególnie oczy ma prześliczne... tylko spogląda tak jakoś poważnie, surowo i jakby smutno.

— Bo niewesołe ma życie.

— Tak? A dlaczego?

— Dużoby o tem mówić. Ma ojczyma, z którym zdaje się niezbyt sympatyzuje i matkę, z którą niebardzo się rozumie. Te przykre stosunki rodzinne skłoniły ją nawet do tego, że przerwała studia uniwersyteckie i zdała maturę seminaryjalną i obejmuje na wsi posadę nauczycielki ludowej.

— Więc to uboga panienka, a ubrana tak elegancko?

— Bo ja wiem. Ojczym jej uchodzi za człowieka bardzo bogatego, dom prowadzi na wielką skalę, ale Hela chce się uniezależnić.

— O, o! Więc to emancypantka? — pytał Ludwik, coraz więcej zainteresowany.

Przedziwnie piękne, głębokie, czarne oczy panny Lidzińskiej zrobiły na nim silne wrażenie. Wysmukła postać dawno znikła już w tłumie, a on ciągle jeszcze widział przed sobą te oczy.

— Jeżeli tak się panu podoba nazwać dążenie do samodzielnego bytu — to emancypantka. Wiem, że się to panu nie podoba, ale trudno. Takie teraz czasy, że spotyka się i piękne emancypantki, nie tylko takie straszdyła, jak ja. Przedstawiłabym jej pana, jeżeli pana tak zainteresowała, ale Hela nie lubi nowych znajomości z mężczyznami.

— Dlaczego?...

Kornelia nie zdążyła odpowiedzieć, bo w tej chwili rzucił się Ludwikowi na szyję okrągły, różowy blondynek.

— Ludwik! Ludwik! Jak się masz! Słyszałem już, żeś przyjechał! Pokażże się, jak wyglądasz, o zmizerniałeś bardzo, ogorzałeś.

— Ale ty zato, mój Stasiu, jesteś zawsze jednakowo biały i różowy. Dobrze ci się widocznie powodzi. No, ale jak się to stało, żeś ty dotychczas w cywilu, na chorego nie wyglądasz.

— Jestem reklamowany, mój drogi.

— Zatem niezbędny?

— A tak! Niezbędny! Jestem urzędnikiem w starostwie.

— A skąd i dokąd teraz idziesz?

— Z domu do urzędu.

— Tak późno? — zdziwił się Ludwik — toż chyba urzędowe godziny dawno się zaczęły.

— E! Co tam, urzędowanie nie ucieknie.

— Interesanci napewno także nie — zaśmiała się Kornelia — przeciwnie, przybędzie ich więcej. Ustawią się w „ogonek“, jak przed sklepami z cukrem, mąką i poczekają sobie. Nic się im nie stanie, w tem staniu i czekaniu mają już wprawę.

Stanisław Herwicz spojrział niedowierzająco na Witowtównę, niepewny, czy ona mówi seryo, czy kpi z niego, ale z tej wieczyście uśmiechniętej twarzy nie mógł nic wyczytać. Machnął ręką i pomyślał: „ktoby się tam troszczył o to, co taki koczko-dan myśli“.

Ludwik pokręcił głową, służba wojskowa przyuczyła go do sumiennego wykonywania obowiązków.

— No, wiesz Stasiu, ty, zdaje się, nie bardzo krępujesz się tem twojem „niezbędnem“ urzędowaniem.

— Co to morały?! Odmienili cię na tej wojnie, czy co?

— Może trochę.

— To przenicuj się prędko na dawnego, wesołego Ludwika, który nie prawil kazań o obowiązkach. A teraz, żebyś mnie dłużej nie moralizował, zmykam. Ale o szóstej spotkamy się dzisiaj u Hawelki, dobrze?

— Będę!

— Servus, Ludwik! Do widzenia pani! Pędzę, bo tramwaj nadjeżdża. A powiadam ci, Ludwik, warto teraz jeździć tramwajami... Konduktorki do skonały wynalazek wojny. O szóstej, pamiętaj!

(Ciąg dalszy nastąpi)